Nr 15. (porz. 147). Kraków, sobota d. 12. kwietnia 1902. Rok V.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.

Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu“, Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Wywiezienie księdza biskupa Wileńskiego.

Trzeciego z rzędu biskupa wywiózł rząd carski na wygnanie, wypędził z dyecezyi wileńskiej za to, że bronił kościoła katolickiego od szyzmy. Najpierw wypędził i osadził na północy ks. biskupa Krasińskiego, który umarł w Krakowie, następnie wygnał ks. Hryniewieckiego, który jest obecnie we Lwowie, a teraz wygnał i osadził na wygnaniu, w dalekiej północnej Rosyi ks. Zwierowicza.

Jeden z naszych świadków tak opisuje wywiezienie tego biskupa z Wilna, głównego miasta Litwy, gdzie króluje N. Panna Ostrobramska:

»Nie byłem świadkiem scen podczas wywożenia z Wilna X. biskupa Hryniecklego, więc porównywać tamtej manifestacyi z wczorajszą nie mogę. To tylko wiem, że manifestacyi bardziej imponującej i wstrząsającej duszę, nie widziałem w życiu. Trzeba znać Litwę, trzeba zbliska widzieć, co znaczy dla uciśnionej ludności katolickiej Kościół i jej przedstawiciele, aby zrozumieć, co się działo w Wilnie na wieść, że biskup znowu będzie zabrany i gdzieś w głąb Rosyi zesłany.

Wieść ta gruchnęła nagle, wszyscy przeto o wyjeździe biskupa wiedzieli. Wyjazd ten zapowiedziano biskupowi na godzinę 6 wieczorem, a już przed godziną 5 koło domu zaczął się ruch niezwykły. Wkrótce zapełniła się cała ulica. Policya z powodu ogłoszonych przepisów o wzmocnionym dozorze *(usilennaja ochrana)* chciała rozpędzić tłumy, ale daremne były jej wysiłki. Tłumy rosły, a niebawem cała ulica wielka, wiodąca od katedry do dworca kolejowego,

pomimo deszczu rzęsistego, zapchaną była zwartą masą ludu. Największy tłok był przy Ostrej Bramie. Gdy w tej bramie ukazała się kareta, tłumy uderzyły w płacz. — Niewypowiedzianie smutny i podniosły był to zarazem widok. Matka Boska Ostrobramska, wznosząca się nad ulicą, zapanowała nad tłumem, iż nie zapamiętał się w uczuciu gniewu i zemsty. Zdjął go niewypowiedziany żal, smutek ludu opuszczonego, nie mogącego znaleść kresu swoich cierpień, przystani dla swych najgłębszych uczuć religijnych. Pasterz, wyjeżdżający z rezygnacyą pod arką kaplicy Ostrobramskiej, aby już więcej pod jej mury nie wrócić, błogosławił obnażone głowy ludu, a lud ten płakał tak, że z westchnień i łkań powstał na ulicy jeden jęk zbiorowy.

Gdy za bramą kaplicy kareta żywiej ruszyła, tłum biegł za karetą, wstrzymywał konie za cugle, aby biegu zwolniły. Za karetą biskupa jechał moskiewski policmajster, ale trudno go było zauważyć w tłoku. — Tłumy wciąż rosły, dążąc w stronę dworca kolejowego. A dworzec pełen był już publiczności, oczekującej na biskupa.

Na widok biskupa, tłum zebrany na dworcu, znowu w płacz uderzył. Oczekiwało go tutaj duchowieństwo. Niektórzy z księży chcieli biskupa odprowadzić parę stacyi, ale żandarmerya zabroniła sprzedawać im bilety. Wiele kobiet i dzieci wdarło się na dachy wagonów, ale policya ściągnęła je stamtąd. Pociąg wreszcie ruszył wśród ogólnego poruszenia tłumów. Ale jeszcze bardziej wstrząsający był widok, kiedy pociąg z biskupem, stojącym w oknie, przechodził przez wiadukt żelazny nad ulicą. Jeszcze raz zobaczono go i on jeszcze pobłogosławił miasto«.

*
* *

Pod świeżem wrażeniem nowego nieszczęścia, nowej klęski zwróćmy się do Bogarodzicy, co »w ostrej świeci Bramie« i prośmy ją o cierpliwość, o ulgę w cierpieniach, o zgodę z wolą Bożą, ale i męskie wytrwanie w miłości ku ojczyźnie i przywiązaniu do wiary św., prośmy Boga, aby dał upamiętanie generalnemu carochwalcy w naszym kraju.

A biskupowi wileńskiemu cześć! Cześć za ten przykład wytrwania i męstwa!

Krzyżacka mać.

Prusacy dzisiejsi powstali z zakonu krzyżackiego. Nazwę krzyżaków otrzymali od białych krzyży, które nosili na czarnych płaszczach. Przybyli oni do nas, aby nawracać pogańskich Litwinów, a jeden z książąt polskich, mianowicie Konrad Mazowiecki nadał im na mieszkanie duże obszary ziemi polskiej. Stało się to w roku 1228, a więc przed 700 laty. Z wdzięczności za to, Krzyżacy zamiast nawracać pogan, zaczęli napadać na Polskę i rabowali nasze

zamki, mordowali lud, grabili i palili wsie. Od tego czasu ciągle Polska musiała z nimi prowadzić wojny i mało było takich lat, aby panował spokój. Jagiełło, król polski pogromił Krzyżaków w straszny sposób pod Grunwaldem, w roku 1410. Ale popełnił wtedy Jagiełło błąd wielki, bo pobiwszy Krzyżaków, powinien ich był wytępić i wyniszczyć co do nogi. Nie zrobił tego, i oni nas obecnie tępią i niszczą. Po bitwie pod Grunwaldem zawarto nawet pokój z Krzyżakami i państwo pruskie (porzucili oni bowiem nazwę Krzyżaków, zrzucili suknię zakonną i przemienili się na państwo świeckie, przyjąwszy nazwę Prusaków), uznano jako państwo oddzielne, lecz każdy książę pruski był obowiązany składać hołd publiczny królowi Polski. W roku 1525 wielki mistrz krzyżacki książę Albrecht, złożył hołd na rynku w Krakowie królowi polskiemu Zygmuntowi Staremu. Król polski zasiadł na tronie pod baldachimem, otoczony panami polskimi i rycerstwem i ludem, wtedy ukląkł książę pruski na kolana i następującą złożył przysięgę:

Ja, Albrecht margrabia na Brandenburgii, Prusach, Szczecinie, Pomorzu, Wendach, książę Kaszubów i Rugii, burgrabia Norymbergii, ***ślubuję i przysięgam*** *Najjaśniejszemu, Najpotężniejszemu władcy i panu, panu Zygmuntowi, królowi Polski, w. ks. Litwy i Rosyi.* **panu i dziedzicowi wszelkich ziem pruskich,** *jako memu naturalnemu* **zwierzchnikowi,** *jakoteż Jego król. Mości* **spadkobiercom** *i przyszłym królom i* ***Koronie polskiej — wierność i uległość,*** *dalej Jego król. Mości i Jego spadkobiercom i Koronie polskiej, iż najlepiej działać, szkodom zapobiegać i wszystko czynić będę, co należy do wiernego lennika —* ***tak mi Panie Boże dopomóż*** *i święta Ewangelio. Amen.*

4 roku 1621 taki sam hołd złożył królowi polskiemu książę pruski Jerzy Wilhelm, Polska była wtedy potężną, drżeli przed Nią wrogowie, Krzyżak zgrzytał wprawdzie zębami, ale na kolanach czołgał się u stóp polskiego tronu — z potęgi i siły nie musieli ojcowie nasi korzystać, w kraju zaczęły się kłótnie o tron, sprowadzono Sasów do Polski, i gdy Sas zasiadł na tronie, zaczęło się za króla Sasa »jeść, pić i popuszczać pasa« przepili więc Polskę, przegrali, przefrymarczyli, a w końcu zaprzedali ją wrogom wprost za gotówkę, za złote dukaty. Gdy Polska była słabą i niedołężną, dobili Ją sąsiedzi, a dzisiaj Krzyżak postawił swoją żelazną, kutą nogę na piersi naszej i ciśnie i gniecie — i nie ma, ktoby nam pomógł, a my sami jeszcze słabi, bezsilni. Miliony ludu w ciemnocie i nędzy, a panowie polscy za granicą trwonią miliony w karty i szampany, zamiast je dać na oświatę, na szkoły, na fabryki w kraju. Ma z tego radość »krzyżacka mać«.

PIORUNY KULISTE.

Wiadomo, że iskra elektryczna, uderzająca z chmury w ziemię i dająca piorun, posiada zwykle postać gzygzaka. Z hukiem, trzaskiem i błyskiem oślepiającym wypada taki piorun z chmury, uderza w przedmiot na ziemi będący, rozrywa, rozbija w drobne kawałki,

zabija i pali. Niestety! każdy z nas widział straszne skutki uderzeń piorunów; niema lata, żeby w której okolicy nie spłonęło kilka chat lub stodół, nie zginęło kilkoro ludzi lub zwierząt.

Zdarzają się jednak niekiedy pioruny, które zachowują się zupełnie inaczej, niż zwykłe.

Przedewszystkiem mają one postać nie gzygzakowatą, lecz kulistą. Wygląda taki piorun, jak kula ognista, wielkości pięści lub głowy ludzkiej. Dalej, zjawiają się one zazwyczaj bez huku, poruszają się powoli, często nie palą rzeczy, z któremi się zetkną i albo bez huku giną w ziemi, albo też roztrzaskują się odrazu na setki iskier, siejąc dokoła okropne zniszczenie.

Przytoczymy parę zupełnie wiarogodnych, z poważnego dzieła wziętych opowiadań o zachowaniu się tych piorunów kulistych.

9-go października r. 1885 podczas gwałtownej burzy, srożącej się nad Konstantynopolem, do pokoju, gdzie przy stole zgromadzoną była cała rodzina, przez otwarte okno wpada kula ognista, wielkości jabłka. Kula ta otarła się o kurek rury gazowej, potem kierując się ku stołowi, przeszła pomiędzy dwiema siedzącymi osobami, obiegła dokoło lampy, zawieszonej nad stołem, i wysunęła się przez okno na ulicę, gdzie wybuchła z okropnym trzaskiem — nie zraniwszy jednak nikogo i nie wyrządziwszy żadnej szkody.

W r. 1886 d. 7 lipca w pewnem mieście francuzkiem (Gray), podczas oślepiającej błyskawicy i strasznego huku, kula ognista, średnicy przeszło półłokciowej, spadła na dach i ścięła, jak kawałek drewna, koniec głównej krokwi. Stamtąd przeskoczyła na dach schodów zewnętrznych, rozbiła w drobne kawałki dachówki i przez zrobioną dziurę wypadła na drogę. Tutaj, tocząc się pośród kilkunastu przerażonych w najwyższym stopniu ludzi, nieopodal od domu zniknęła.

24 kwietnia 1887 roku, również podczas burzy, taki piorun kulisty wpadł przez otwarte drzwi do obory, zbliżył się do gospodyni, która zabierała się do dojenia krowy, potem przesunął się pomiędzy nogami krowy, i nie wyrządziwszy żadnej szkody, zniknął. Pomimo to krowa przerażona stanęła dęba z okropnym rykiem, a gospodyni w największym przestrachu uciekła z obory.

W pewnej wsi (Salaniak) w r. 1845 piorun w czasie burzy uderzył w chatę i w tejże chwili, przy ogłuszającym grzmocie, przez komin wpadła do izby kula ognista. W izbie siedziały trzy kobiety i dziecko, nikomu jednak piorun krzywdy nie zrobił. Przesunęła się potem ta kula na środek izby do stóp młodego chłopaka. Kobiety zaczęły krzyczeć na niego, żeby ogień nogą zagasił, ten jednak wolał uniknąć zetknięcia. W końcu kula przeszła do sąsiedniej izby i zniknęła. Dopiero potem w poblizkim chlewku znaleziono zabitego wieprzka. Okazała się, że kula dostała się tam przez słomę, której jednak nie zapaliła.

A oto jeszcze jedno zdarzanie, dowodzące, że piorun kulisty bywa nieszkodliwym.

29 sierpnia 1791 r., niedaleko miasta Padwy we Włoszech — opowiada pewien opat — młoda dziewczyna podczas burzy znajdowała się na łące, gdy wtem u stóp jej ukazała się kula ognista,

wielkości dwóch pięści. Tocząc się po ziemi, kula doszła do gołych nóg dziewczyny, musnąwszy je, dostała się pod ubranie, które wydęła, jak banię, i przez gorset wyskoczyła z hałasem w powietrze. Dziewczyna upadła na wznak. Pospieszyli jej ludzie z pomocą, lecz okazało się, że nic jej się nie stało. Na ciele tylko znaleziono lekkie oparzenie, które ciągnęło się od prawego kolana do połowy piersi, koszula na całej tej przestrzeni była na kawałeczki podarta, a w gorsecie znajdował się mały otwór, którym kula wydostała się na zewnątrz.

Zdarzeń podobnych moglibyśmy przytoczyć więcej — szkoda, tylko, że wszystkie one dotyczą krajów obcych. Niewątpliwie takie kule piorunowe zdarzyły się i u nas. Bylibyśmy bardzo wdzięczni tym z naszych czytelników, którzy takie pioruny kuliste widzieli, żeby nadesłali nam o nich kilka wiadomości.

Rozumie się, że wiadomość musi być zupełnie prawdziwą, podaną nie z dalszych opowiadań, lecz z tego, na co się samemu patrzyło. Trzeba też podać miejsce i czas wypadku.

NA JASNEJ GÓRZE.

Corocznie na Jasnej Górze w Wielki Czwartek, z uderzeniem godziny 4 rano, odbywa się zmiana sukienki na cudownym obrazie Najświętszej Panny. Tej uroczystej i wiekami uświęconej ceremonii, dopełniają Ojcowie Paulini przy zamkniętych drzwiach świątyni i bram klasztornych, raz, aby uniknąć natłoku ludu napływającego na uroczystości wielkoczwartkowe, powtóre ze względu na szczupłość miejsca, w którem ta ceremonia się odbywa. Jeszcze zwykle ciemno, gdy na kurytarzach pojawiają się Ojcowie Paulini, śpieszą do zakrystyi, otwierają skarbiec i dążą po schodach ku małej celce, przylegającej z tyłu górnej części ołtarza Przenajświętszej matki Zbawiciela. Przyklękają wszyscy, poczem 2-ch Paulinów, przybranych w komże i stuły, wyjmuje obraz z ołtarza, składając go na stole przybranym w obrus przy świetle świec ustawionych w górnej stronie cudownego obrazu.

Zakonnicy rozpoczynają modlitwy pod przewodnictwem przeora, po skończeniu których zdejmują koronę i sukienkę drogocenną i odnoszą ją do skarbca, skąd przynoszą drugą w jej miejsce. Obraz okurzają i kładą na nim welony, obrazki, koronki, także medaliki i krzyżyki osób obecnych, pragnących, aby te ich przedmioty dotknęły się tej świętej pamiątki.

Do ćwieczków na obrazie, osobnemi narzędziami za pomocą drutu przymocowują koronę, aniołów i sukienkę. Po przybraniu obrazu, przeor odmawia litanię do Najświętszej Maryi Panny, po ukończeniu której znowu dwóch zakonników wstawia obraz do ołtarza.

Swiadkowie tej wzruszającej ceremonii opowiadają, że widok z blizka cudownego oblicza N. M. P. Jasnogórskiej kruszy serca

obecnych i łzy im z oczu wyciska, a na usta przywodzi nieraz modlitwę:

Wiek to wiekowi wieści ogłasza:
Na Jasnej Górze — to Matka nasza!
Ciebie widziano w pobożnej radzie
I kierowniczką w domowym ładzie,
Zapalającą serca ołtarze,
Niosącą radość na łzawe twarze.

Zorza.

POŻARY I ZGLISZCZA

POWIEŚĆ

NA TLE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

(Ciąg dalszy).

Postać powstańca u słupa zadrgała parę razy, rzucił się w tył, wybełkotał coś, zachrapał i zawisł na sznurach: oczy nieruchome patrzały jeszcze na wóz.

— Darujcie, wasze wysokorodije! — tłómaczył się kozak pokornie — przysięgam że żyła, i nikt jej nie krzywdził. Rozkaz był pośpiechu, wóz trząsł, musiała skończyć w drodze! Jej Bohu, my nie winni! dostawili w tri miga!

— Won mi z oczu, kanalje! A trupa oddać księdzu! Zmarnowaliście mi śledztwo, głupcy! Won!

Podniósł rękę, skinął na oficera dowodzącego egzekucyą.

— Kończyć z nim, już niepotrzebny! — krzyknął, wracając do wnętrza domu.

Bęben uderzył przeciągły werbel, oficer przeczytał wyrok, drugi werbel, komenda — dziesięć kul poszło, gwiżdżąc w piersi ofiary...

Szukały daremnie życia, by je zniszczyć... pierś męczennika już była głucha i pusta jak dzwon, któremu serce wydarto!...

. . . .

A sierota płakał głodny, coraz ciszej. Stara sługa wyniosła go wreszcie z domu, gdzie zjechała moskiewska administracya, poprzedzając konfiskatę. Zabrała z sobą maleństwo na straż, gdzie jej mąż służył. Starzy strasznie popłakali nad dolą pańską; o dziecko nikt się nie upomniał. Świdowie mieli mało krewnych i ci zapomnieli o niem w takich czasach.

W parę tygodni dopiero siwy, smutny pan zjechał przed ubogie domostwo.

— Przygarnęliście synka pana Świdy? — spytał piastunki.

— Tak panie! Odchuchaliśmy odrobinę. Jak Bóg da, żyć będzie.

— Niech wam Bóg zapłaci. Dziecko mi pan Świda polecił, przysiągłem mu ojcem być, więc go zabiorę z sobą — i was, jeśli chcecie.

Nazajutrz rankiem straż zostawiono pustą. Sierota jechał do nowego domu. Mijano lasy i pola, dwory i wsi, stary milczał, łzy ocierając.

— Same zgliszcza! — szepnął wreszcie do siebie — same zgliszcza! Pożarem strawiłeś pan kraj, Boże! Zabrał wszystko i znowu zostały wdowy i sieroty, jak już tyle razy! O Panie wielki, a jam myślał, że to nowa zorza!

— I na jaką dolę go wychowam! — zaczął po małej przerwie, na dziecko spoglądając — co jemu życie przyniesie? jaki ból i jaką nagrodę?...

I dobrze, że starzec-patryota nie mógł ujrzeć przyszłości, bo zobaczyłby znowu zgliszcza i ruinę! Ojcowie o kraj i wolność walczyli, dzieciom przypadła walka o chleb i życie!

I widziałby starzec jednych, co zwichnięci, szaleni, trawili czas w biernej, bezmyślnej bezczynności, resztkami fortun opłacając powierzchowny szał, by nie myśleć! I widziałby innych, co rozproszeni burzą, odarci z mienia, rzucali się w świat, walcząc o byt i karyerę, pracą półwiekową zdobywając naukę i fach, Mogli wiele działać — — a potem przed głodnym, nędzarzem, zamykano wszystkie drogi... Były posady, służby, sposoby zarobkowania, ale nie dla paryasa Polaka. Odchodził odepchnięty, pogardzony, z rozpaczą w duszy...

Za sobą miał kraj bez domu, wyniszczoną pustynię, skazaną na zagładę, a przed nim występował z zaułka geniusz nędzy, socyalizm i w znękaną jego duszę kładł trujące ziarna! — — I widziałby starzec-patryota, że w to samo morze, co przed dwudziestu laty, spływało to, co czuło, kochało i myślało! Nazwisko swoje rodzinne znajdował więzień forteczny, młody chłopiec, na wilgotnej ścianie kazamaty, a po ojcu zmarłym u taczki syn brał grubą świtę katorżnika i pod batogiem dozorcy kopał miedź i srebro na wojsko i policyę dla cara!

Dobrze, że starzec-patryota przyszłości nie mógł widzieć, bo możeby się nie cieszył, że sierota żył, a nie poszedł za ojcem i matką!

. . . .

. . . .

VII.

Wydarty śmierci daremnie.

Podczas, gdy klęski spadały na okolicę, zabierając setki ofiar, miliony funduszów, podczas okropnych wypadków poprzednich rozdziałów był szmat ziemi nietknięty pożogą, co go otaczała wiankiem; był człowiek oszczędzany przez rozbestwionych kozaków i urzędników.

W Sterdyniu był spokój. Jak za dobrych czasóz szły tu zbiory i ziemne roboty, jak za pańszczyzny słuchali tu chłopi, roiła się służba, płynął dostatek. Jak magiczny krąg otaczał dwór i właściciela, zachował nietknięte miliony, pod dachem swym posiadał Władkę.

A jednak uleciało odeń wiele, bardzo wiele, i nie przyszło zadowolenie i szczęście. Glejt murawiowski nie miał na to mocy.

Uleciał szacunek ludzi przedewszystkiem. Czaplic znalazł się.

sam, bez sąsiada, bez brata, bez przyjaciela; za granicą majątku spotykał twarze surowe, tchnące najwyższym wstrętem, dłoń każda cofa się, gdy on swoje wyciągał; gdzie się ukazał, obecni brali za czapki i schodzili mu z drogi, na progu Sterdynia nie postała polska noga, mijano dwór z daleka, jak klątwą tknięty.

Wściekły, szalony męczarniami pychy, denuncyonował jednego po drugim dawnych przyjaciół. Brano ich na jego słowo, bez śledztwa, wywożono daleko, na ich miejsce występowali inni, nie pomni niebezpieczeństwa, siły tego człowieka, miażdżyli go coraz sroższą pogardą.

Duch żył jeszcze w społeczeństwie, Czaplic walczył daremnie, był zgubiony, wystawiony u pręgierza, skazany na przekleństwo bratnie. Nazwisko jego poszło z powiatu do powiatu, z gubernii do gubernii plwali nań nieznajomi, każdy, co polską krew miał w żyłach — dla Czaplica nie było miejsca w kraju.

I uleciał też od niego szacunek Władki. Usta jej milczały, nie rzekła mu słowa o zdradzie, mieszkała nawet w Sterdyniu, ale on z oczu jej wyczytał myśl i przed nią jedną spuszczał czoło zuchwałe, którem urągał całemu światu.

I była jeszcze jedna rzecz, najstraszniejsza, co dniem i nocą męczyła Czaplica, była jego myśl, co go nurtowała jak trucizna, gorsza od pogardy bratniej, od wstydu, od rozpaczy, Trawiony nią, jak żarem piekielnym, wił się jak płaz, zgrzytał zębami, szalał bezsilny. I na to nie miał mocy glejt murawiowski.

Wówczas gdy cudem uszedł od partyi i dyszał zemstą na Aleksandra Świdę, szpieg doń przyszedł, jedna z owych istot, co pełza w dzień, a lata jak nietoperz w nocy i których parę miał we dworze u siebie, poszedł i opowiedział mu mniemaną schadzkę Władki z Aleksandrem w Studziance.

Czaplic zzieleniał, słuchał jak potępieniec wyroku, potem jak wąż zwinął się z bolu i ohydnej złości. Nazajutrz gorzała Luchnia, powstaniec był wydany, zgubiony. Czaplic chciał tryumfować, nie mógł. Za nim jak męka chodziła myśl jgdna, tortura!

— Ona go kocha!

Odnajdywał ją w snach gorączkowych, mięszała mu rozum, przerywała mu każde zajęcie, a ilekroć podniósł wzrok na Władkę, czytał to samo w jej oczach tęsknych, pełnych cichych płomieni i nad wyraz słodkich. Wówczas uciekał przed siebie, bez celu, bez pamięci, marząc o jąkimś okropnym odwecie.

Odwet sam przyszedł. Była to porażka pod Krasną Choiną! Czaplic odepchnął. Nie było Świdy! Sam przed grabarzami poszedł trupa odnaleść, nasycić oczy tymi martwymi członkami, urągać wrogowi na ziemi. Chciał go wziąść, rzucić przed oczy Władki, by zgasić ich blask, zobaczyć łzy, chwilę słabości. Był szczęśliwy niedolą tej, którą niby kochał, tak jak nie zdobył się na odwagę bronić jej sam przed assaułą, który mu grozil kozakami.

Trupa nie było. Świda zginął, może padł w innem miejscu, może go pogrzebali koledzy. Czaplic poszedł po odpowiedź do Władki.

Dziewczynkę, w parę dni po rozbiciu partyi, pani Ordyniec

zabrała z Grabów. Brat ją dlatego sprowadził spiesznie z za granicy. Nie było oporu ze strony wychowanicy, przybyła do Sterdynia jak zwykle spokojna i milcząca, ale niekiedy w zamyśleniu rysy jej przebiegał jasny błysk radości i nadziei, niekiedy zapapatrzona przed siebie, uśmiechała się przelotnie do jakiegoś obrazu w myśli!

— On żyje! — rzekł Czaplic, patrząc na nią.

Cóż znaczyły miliony, bezpieczeństwo, łaski Aprasjewa w obec tego faktu? Jemu do szczęścia trzeba było śmierci Świdy, największą rozkosz sprawił mu jego jęk ostatni.

— Żyje! gdzie? jak?

Do obłędu dochodził, furye nienawiści, zazdrości, zemsty odbierały mu sen, siły, zdrowie; śliczny uśmiech Władki burzył mu wszystkie męty w duszy. Był to także męczennik, choć się tem tylko zajmował.

A jednak on żył — Czaplic przysiągłby na to!

Tymczasem tygodnie mijały. Z powiatu ledwie dyszącego po rabunkach, aresztowaniach i śledztwach, ustąpiło wreszcie wojsko. Wybrano trzy kontrybucye, jenerałowie rosyjscy poczęli zjeżdżać i obejmować pokonfiskowane majątki; szlak sybirski dniem i nocą roił się zesłańcami; pędzono całe osady, setki pokutych więźniów, małe dzieci, kobiety i starców. W Wilnie wznoszono cerkwie i pamiętniki. Aprasjew dostał order i cztery folwarki, pułkownik Bezdałowkin zapijał się czystym rumem... a Czaplic widział tylko, jak z dnia na dzień rysy Władki nabierały coraz cudniejszego wyrazu, a bladą znękaną twarzyczkę pokrywał rumieniec...

Wróg jego żył — dziewczynka wiedziała o tem — byli szczęśliwi

Raz po nocy bezsennej Czaplic wychudły, żółty, straszny jak uosobienie grzechu, kazał osiodłać konia i ruszył do straży Makarewicza.

Nie zastał gospodarza. W chacie stara baba, służąca, głucha, zdziczała życiem w lesie, odpowiedziała, że strażnik od świtu był w lesie z rewizyą

Gdzie? nie wiedziała. Obszar był ogromny, porosły stuletnią jedliną i dębami, przerznięty siecią trzęsawisk, zwierza chował setki i miryady ptactwa. Pan Czaplic zabłądziłby w sto kroków.

Zły, kazał kobiecie otworzyć sobie wszystkie drzwi, zrewidował straż, chlewy, stodołę, każdy zakątek; nie minął najmniejszego kąta i sprzętu — napróżno.

Nie było nic podejrzanego, prócz kilkunastu kul w woreczku, które zabrał ze sobą. Na owe czasy był to dostateczny dowód, by zgubić człowieka.

Gdy wychodził posępny i zabierał się z powrotem, z boru ukazał się strażnik. Szedł sobie powoli z torbą przez plecy, z kijem w ręku; z daleka ujrzawszy pana, zdjął czapkę, zbliżył się, kłaniając.

— Gdzież to byłeś? — zagadnął go pan Dominik, przenikliwie mierząc oczami chytrą, niby nieroztropną twarz dawnego lokaja.

— W puszczy, jasny panie. Chłopstwo teraz kradnie na po-

tęgę, wdzierając się od brzegów. Wczoraj omal mnie nie zabito, gdym odbierał siekiery.

— Jesteś widocznie za stary do tej służby. Będę zmuszony zmienić ci miejsce! — rzekł Czaplic, uwarzając, co za wrażenie zrobi ta uwaga.

— Na rozkazy pańskie! — odparł spokojnie Makarewicz.

Spokój ten do szału doprowadzał dziedzica. Powiernik Władki miał — jak ona — twarz uśmiechniętą, rozradowanie w oczach.

Ten człowiek znał losy Świdy, wiedział, czy żyje, może go sam przechowywał, ale czyż był sposób dobyć zeń zeznanie? Pan Dominik był pewnym, że nie dokazałby tego powolny ogień i ćwiartowanie żywcem. Zmarszczył brwi, ręka jego spadła ciężko na ramię strażnika. Próbował ostatniego sposobu.

— Jakiego to rannego przechowujesz, mości Makarewicz? Dziś mi o tem donos dano! — spytał z nienacka.

Stary ani mruknął. Siwe jego oczka, pełne dziecinnej naiwności i zdumienia, spoczęły na panu.

— Rannego? — powtórzył przeciągle — jakiego rannego? Albo ja wiem, jasny panie! Ja tu od miesiąca nie widziałem żywej duszy. Zresztą chata otwarta; jasny pan może się sam przekonać.

— Tak chata twa pusta, wiem o tem, lecz wiem też, żeś ukrył przed sądem i karą powstańca: Świdę z Luchni! Pamiętaj, że to go nie uratuje, a ciebie zaprowadzi na stryczek. Czyś zrozumiał?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Krzywdy i nadużycia.

Naganka na polskiego księdza. Z Gelsenkirchen donoszą jak tam pruska policya urządziła pościg za księdzem polskim, który w tamtejszym kościele przygotowywał dzieci polskie do spowiedzi.

Żandarmi osaczyli kościół i ksiądz był w wielkiem niebezpieczeństwie. Już zdawało się, że go żandarmi schwycą, gdy w tem jednemu z obecnych przyszło na myśl, że może udałaby się ucieczka tylną furtką kościoła, przy której nie było straży.

Plan ów szybko powzięty, rzeczywiście udał się. Wierni zasłonili księdza polskiego, który ową furtką uszedł szczęśliwie i dotarł aż do Rothhausen. Tam ułatwiono mu dalszą ucieczkę.

Takim sposobem cała pogoń żandarmska nie przydała się na nic, Szukano, pytano się, badano, ale wszystko nadaremnie. Nawet spowiadać im po polsku nie wolno, księdza polskiego przyjąć nie pozwala prusak, a u nas znany ksiądz redaktor pisze, że kalendarze wydawane przez prusaka Steinbrennera są lepsze, aniżeli kalendarze Wojnara, wydane w Krakowie, które wszyscy macie w rękach. Czy to uczciwie? czy to po polsku? czy to po katolicku.

Na podstawie § 19 ustawy prasowej proszę uprzejmie Szan. Redakcyę o umieszczenie następującego sprostowania, odnośnie do umieszczonego w Numerze z 29 marca b. r. artykulu pod tytu-

łem »Zlituj się Boże nad biednym, straszliwie skrzywdzonym ludem polskim!«

1) nieprawdą jest, by Katarzyna Zeglin (mylnie w owym artykule »Zeglicz« nazwana) wypożyczyła w tutejszem Towarzystwie zaliczkowem kwotę 200 zł. na lat 10, gdyż wedle osnowy notaryalnego skryptu dłużnego z daty Nowytarg 15 lutego 1895 pożyczyła ona tę kwotę do spłaty w 3 rocznych ratach, a więc do 15 lutego 1898.

2) nieprawdą jest, by dłużniczka ta na rachunek długu wzmiankowanego uiściła częściowo do rąk podpisanego, łączną kwotę 195 złr.. bo zapłaciła ona tę kwotą, a nawet więcej bo **205** złr. bezpośrednio do kasy Towarzystwa na poczet kapitału, procentów i kosztów (stosunkowo znacznych, gdyż egzekucya trzy razy była ponawianą).

3) nie jest prawdą, iż dłużniczka o rozpisaniu wdrożnej przeciw niej licytacyi swej realności wiadomości nie miała, gdyż wedle przepisu ustawy taka rezolucya musi być dłużniczce do rąk własnych doręczoną, i że istotnie była jej doręczoną, dowodem najlepszym, iż z nią w ręku Katarzyna Zeglin w połowie listopada b. r. zgłosiła się do mnie z prożbą o ponowne zatrzymanie tej licytacyi.

4) jakkolwiek prawdą jest, iż wówczas **przyrzekłem** prośbie jej zadosyć uczynić, to jednak uczyniłem to tylko pod warunkiem, jeżeli przed terminem licytacyjnym, uiści dalszą spłatę w kwocie przynajmniej 50 kor.

5) nieprawdą jest, jakoby po tym układzie dłużniczka uiściła jakąkolwiek wpłatę, w szczególności 56 złr.

6) nieprawdą jest, iżbym jej w sprawie tej »nie przyszedł z radą« gdyż, jakkolwiek do tego prawnie nie obowiązany, zwróciłem jej uwagę na doniosłość terminu licytacyjnego, obligując ją aby w każdym razie na takowy przybyła celem zastanowienia tegoż, w razie uiszczenia pomienionej upłaty. W dniu terminu licytacyjnego nie byłem wprawdzie w Nowymtargu obecny (a także i dłużniczka nań niestawiła się!), lecz koncypient mójwyłącznie w interesie dłużniczki, brał udział w licytacyi, tak że realność zlicytowaną została o 367 złr. wyżej po nad cenę szacunkową. W kilka dni po sprzedaży przybywszy do domu, gdy Katarzyna Zeglin opowiedziała mi co się stało, zawezwałem do kancelaryi swojej nowonabywcę jej realności Langera, i byłbym prawdopodobnie skłonił go do odstąpienia napowrót owej realności Zeglinowej za stosunkowo nie bardzo znacznem odczepnem, gdyby nie przeszkodziła mi w tem ona sama, grożąc Lengierowi że mu »kości połamie«, gdyby na grunt jej przybyć się odważył i tym sposobem zniechęcając go do wszelkich z nią układów.

Z poważaniem *Dr. Ernest Geisler.*

(Faktem zatem jest i to przyznaje p. Dr. Geisler, że Zeglinowa pożyczyła 200 złr., a zapłaciła 205 złr., że za małą, pozostałą resztę sprzedano jej realność żydowi Langerowi i że p. Geisler, gdyby był chciał, toby był do licytacyi nie dopuścił. *Redakcya.*)

Kronika i rozmaitości.

Ostatni numer. *„Obrony ludu“* zabrała nam c. k. Prokuratorya Państwa, cały nakład prawie. Mamy z tego powodu straty kilkadziesiąt złr. Skonfiskowano artykuł o nadużyciach żydowskich, bo w Krakowie nie wolno źle o żydach pisać, następnie skonfiskowano artykulik o nadużyciach, jakie się dzieją w starostwie limanowskim, a które wyszły na jaw w sądzie karnym w Nowym Sączu. Z powodu tej konfiskaty wniesie poseł Danielak interpelacye w Radzie Państwa.

Piękny czyn ks. biskupa Zwierowicza zaczyna dawać pożądane wyniki. Oto z powodu listu pasterskieiego ks. biskupa — jak donoszą z Wilna do „Gazety Narodowej“ — odebrano dwa tysiące dziatek ze szkółek prawosławnych (cerkiewnych) przez popów prowadzonych.

Księdza biskupa wileńskiego za to jak już pisaliśmy, że zakazał posyłać dzieci polskie do szkół prawosławnych, wywieziono na wygnanie w głąb Rosyi, do miasta rosyjskiego Tweru, dając mu ledwie tyle, by nie umarł z głodu. Tak prześladują biskupów polskich pod rządem moskiewskim, a nasz oszust polityczny i generalny moskalofil ciągle chwali Rosyę, tylko sam jakoś nie ma ochoty tam pojechać i zakosztować tego prawosławnego raju.

Do Grybowa przybywa nowy weterynarz p. S. Mamak, brat księdza proboz Bobowy, człowiek rozumny i ludowi życzliwy.

Samobójstwo, we Lwowie powiesił się w przystępie gorączki tyfusowej 34-letni lekarz Dr Tomasz Piotrowski.

Z Warszawy donoszą, że zamordowano tam Władysława Malewskiego, naczelnika wydziału rachunkowego kolei wiedeńskiej. Malewski sprowadzony był z Rosyi i otrzymał miejsce jako protegowany żandarmeryi. Z robotnikami obchodził się brutalnie i stale denuncyował ich żandarmom przy lada jakich poszlakach. Sprawcy zabójstwa nie ujęto. Wyznaczono 1000 rubli nagrody za wynalezieienie go.

Dnia 28 lutego wieczorem pchnięto nożem Szostkiewicza, dyrektora fabryki Frageta, uchodzącego powszechnie za denuncyata i złodzieja, który kradł złoto i srebro i zwalał winę na robotników.

Nie kupujmy obcych towarów, bo prusacy, ani moskale, ani niemcy naszych towarów nie kupują, więc i my nie kupujmy od nich. *Sądczanin* donosi, że Redakcya „Związku Potoczków“ urządziła w Nowym Sączu skład maszyn rolniczych, które nie tylko, że **są drogie**, ale co najważniejsze, pochodzą od fabrykanta *dziwnie polskiego*!!, bo niejakiego **J. Moravetza**!!

Ostrzegamy przeto i my gospodarzy rolników, aby tam nic nie kupowali, bo mamy przecież w kraju wyroby swoje, maszyny rolnicze dobre. Nie napełniajmy kieszeni cudzoziemców naszym groszem!

Rada miasta w Nowym Sączu uchwaliła z. r. subwencyą przez lat 75 po 2000 koron na budowę kolei Nowy Sącz — Szczawnica. Rada powiatowa w N. Sączu uchwaliła subwencyą 200. 000 kor. — Wydział krajowy 600. 000 Zapytują podatkujący, czy koniecznem było owo olbrzymie zobowiązanie gminy Sącza na kolej, która bez dodatku i tak wybudowaną będzie. Tak gospodarują gronem obywateli Sądeckich różnego kalibru Barbaccy z góralikami i żydowskim kahałem.

Nieszczęście chciało, a może to — jak mówią — palec Boży — że chłopak uderzony przez ks. Góralika w Sączu na trzeci dzień umarł. O tej sprawie pisze *Sądeczanin*: Niepotrzebny rozgłos uczyniono przypadkowi ks. infułata dra Góralika który chcącego go pocałować w rękę 5-letniego chorowitego chłopczynę odepchnął od siebie tak silnie, iż upadł na bruk. Nieszczęście chciało, że dziecko

to w kilka dni potem umarło (jak sekcya wykazała: na gruźlicę) złośliwi ludzie, ukuli więc z tego broń przeciwko ks. Infułatowi, do prokuratoryi wpłynęło nawet w tym kierunku doniesienie anonimowe.

„Z naszej strony oddaliśmy sprawę na miejscu i doszliśmy do przekonania, że zarzuty złej woli czynione ks. Infułatowi są z gruntu fałszywe, a czyn jego polegający na potrąceniu chłopca jest co najwyżej **„uczynkiem miłosiernym co do ciała“**. (Vide E. Holarek: Aforyzmy z katechizmu).“

Okropna pomyłka. Z N. Sącza donoszą: Stanisław Żegleń, konduktor kolejowy, lat 46 liczący, żonaty i dzietny w Nowym Sączu, wróciwszy do domu z podróży dnia 29, o godzinie 5 po południu wygłodniały i spiesząc się na rezurekcyę, prosił żonę Katarzynę Żegleniową, aby mu jak najprędzej podała co zjeść. Żona krzątała się właśnie koło przyrządzenia mu posiłku, podczas gdy Żegleń, chcąc napić się tymczasem wódki, otworzyl spiżarkę kuchenną, gdzie znajdowały się jednakie dwie flaszki, jedna z wódką druga z karbolem. W pośpiechu Żegleń zamiast wódki napił się karbolu. Padł na ziemię z okrzykiem „doktora“, jęcząc i wijąc się w bolach. Zrozpaczona żona przywowała zaraz dwóch lekarzy którzy wypompowali nieszczęśliwemu truciznę z żołądka, nic to jednak nie pomogło. Po dwóch godzinach strasznej męczarni, Żegleń ducha wyzionął.

Sędziwy słoń. W 135-ym roku życia zakończył istnienie swoje słoń, znany w Anglii pod nazwą „Gusa“ który już od dawna jadł łaskawy chleb. Podczas podróży swoich z towarzysktwem cyrkowem dopełnił „Gus“, czyn niezwykły. W pewnem miejscu kąpielowem we Francyi kąpał się z rana w rzece, gdy nagle dwoje dzieci wpadło do wody i zaczęło tonąć. „Gus“, usłyszawszy krzyki, podpłynął do nich i przy pomocy trąby wyratował i wyniósł je na ląd. Niedawno przeziębił się silnie i pomimo bardzo silnych lekarstw, uratować go nie zdołano. Dostawał codziennie 15 butek whisky (wódki) araku i brandy, czyli taką ilość spirytualiów, jaką najwytrawniejszy nawet pijak zdoła pochłonąć zaledwie w tyle tygodni, w ile „Gus“ godzin. Małżonka jego nazwana „Topsy“, pielęgnowała go troskliwie, okrywała słomą i znosiła jedzenie, które jej dawano.

— **„Do Saksów“.** Zaznaczyliśmy już kilkakrotnie bardzo dużą emigracyę robotników z naszego kraju na roboty polne do Niemiec, Prus i Saksonii. Obecnie leży przed nami karta korespondencyjna, pochodząca z Mysłowic z tamtejszego urzędu pruskiego, zajmującego się odbieraniem robotników, a wystosowana do jednago z krajowych biór, zajmujących się wysyłaniem robotników. Karta ma datę 4 kwietnia i stwierdza, że obecnie jest nagromadzonych w Mysłowicach przeszło **1. 000** ludzi, czekających na robotę i że dalsze wysyłki powinny być na razie wstrzymane.

— **Stan umysłu sułtana.** Angielskie dzienniki donoszą z Konstantynopola ciekawe szczegóły o sułtanie. Stan jego umysłowny jest anormalny. Ciągle i wszędzie podejrzywa zdradę, nawet ze strony swoich najwierniejszych. W pałacu kazał urządzić dla siebie osobny apartament, w którym dniem i nocą stoi na straży 100 ajentów policyjnych. Lekarz przyboczny i adjutanci muszą najpierw próbować każdej potrawy i każdego napoju, zanim się ich dotknie. Nie sypia w łóżku. Budzi się wciąż, trapiony widziadłami sennemi. Zawsze nosi przy sobie dwa rewolwery. Rozprężenie nerwów spowodowało też nadwątlenie ogólnego stanu jego zdrowia; to też Abdul-Hamid jest igraszką w ręku małej, ale sprytnej kliki. Wiele osób znika z widowni, wskutek denuncyacyi zauszników sułtańskich. Niedawno sułtan tam zastrzelił w haremie trzy swoje żony.

Boerowie i Anglicy. Sprawa, która zajmuje umysły w Europie, chociaż nie dotyczy zbliska, jest ugoda między Anglią a przedstawicielami republik Afryki

południowej. Przewódzca Boerów Shalk-Burger z pięcioma reprezentantami udał się za listem żelaznym do Pretoryi, gdzie rozpoczęto z lordem Kiczenerem układy pokojowe. Punkta przedwstępne ugody pozostają w tajemnicy. Boerzy stawiają następujące warunki: 1) niepodległość republik pod protektoratem Anglii, 2) odszkodowanie za spalone farmy i zrabowany dobytek, 3) wolność Afrykanderów od odpowiedzialności, 4) amnestya i t. d.

Można wierzyć, że Anglicy skłonni są bardzo do zawarcia pokoju. Wojna w Afryce trwa półtrzecia roku, pochłonęła olbrzymie ofiary w pieniądzach i ludziach, odbiła się bardzo niekorzystnie na handlu angielskim, sławy Anglikom wcale nie przysporzyła, a widoki na przyszłość niepewne: niewiadomo, kiedy i jak się wojna skończy. Tymczasem zbliża się koronacya Edwarda VII., podczas której Anglia chciałaby wystąpić bodaj w pozorach zwycięzcy, mieć zapewniony pokój. Lecz i Boerzy, chociaż okryli się w boju niezmierną sławą, męstwem bohaterskiem, odwagą, śmiałością i taktyką przewyższyli znacznie Anglików, jednak będąc w ogromnej mniejszości, nie poparci przez nikogo, czują, że szczupła i tak garstka bohaterów maleje z dnia na dzień i że prędzej czy później przemocy uledz będą musieli. Więc też przyjmują wyciągniętą do zgody dłoń pod warunkiem zachowania niezależności.

Czy jednak wszyscy Boerzy zgodzą się na załatwienie pokojowe, dotychczas niewiadomo. Shalk-Burger udał się do Stejna, prezydenta Oranii, oraz, by porozumieć się z wodzami boerskimi Bothą. Dewetem i Delarejem. Ci bowiem należą do nieprzejednanych, tembardziej, że opierają swe nadzieje na Afrykanderach i tych wszystkich, a jest ich znaczny zastęp, którzy nie są zadowoleni z rządów angielskich w Afryce.

„Wielkiemu“ wodzowi Kiczenerowi jakoś nie tak łatwo poszło, jak z Derwiszami, których mógł łatwo zniszczyć i wyprawić formalną rzeź, skoro uzbrojeni byli tylko w łuki i liche odwieczne samopały. Teraz zaś i blokhauzy nie pomagają i trzeba będzie może wojnę zakończyć pokojowo. Akcya pokojowa ma być na dobrej drodze. — Cecil Rhodes ur. 1853 umarł 26 marca z pijaństwa. On to był inicyatorem nieszczęsnej wojny z Boerami rzekomo w obronie cudzoziemców (uitlànderów), a w rzeczywistości w celach spekulacyjnych. Kraj Matabelów przezeń podbity został nazwany Rhodesya.

Znakomity powieściopisarz polski, Henryk S i e n k i e w i c z, tak się wyraża o przyszłości Burów w Afryce południowej: »Bohaterstwo Burów i ich wytrwałość zapewniły im życzliwość i podziw całego świata. Bądź co bądź, są oni jednak kolonistami — i nie mają do Afryki południowej praw tak odwiecznych i uświęconych, jakby była ich kolebką. Burowie są bardzo mało liczni, a liczba ich zmniejszyła się jeszcze przez wojnę, grozi im więc podwójne niebezpieczeństwo. W razie zwycięstwa nad Anglikami zostaną zalani przez fale emigracyi ze wszystkich krajów europejskich i staną się wkrótce nieznaczną mniejszością. Jeśli zostaną zwyciężeni, wejdą w skład olbrzymiego państwa Wielko-Brytańskiego. Lecz w tym ostatatnim wypadku, co za szczęście w nieszczęściu, że zostaną zwyciężeni przez Anglosaksonów, a nie n. p. przez Prusaków. Pod panowaniem angielskiem otrzymają samorząd, prawa ich i język zostaną uszanowane, ziemia ich nie będzie im wydzierana przez żadne komisye, rozporządzające milionami, na które w Prusach muszą się składać wszyscy poddani państwa, a zatem i ci, przeciw którym owe miliony mają być użyte. Wreszcie jeśli Edward VII. lub ktokolwiek z jego następców stawiąc w zakład honor narodu i dystancyi, poręczy Burom słowem królewskiem ich prawa, to nie do pomyślenia jest, aby zna-

lazł się w Anglii minister dość bezwstydny, któryby miał odwagę powiedzieć jak Bismarck w pełnym parlamencie: »Słowo królewskie grosza nie warte.« Nie znajdzie się także żaden Anglik, któryby nie rozumiał, iż złamanie słowa królewskiego jest hańbą dla dynastyi i państwa.«

Okólnik ministra oświaty. Minister oświaty wystosował do wszystkich krajowych władz szkolnych rozporządzenie z poleceniem do ciał nauczycielskich szkół ludowych, wydziałowych i seminaryów nauczycielskich męskich i żeńskich, by każdy nauczyciel przy nadarzającej się sposobności pouczał młodzież o niebezpiecznych skutkach nadużywania napojów alkoholowych i by przy wyborze książek do bibliotek szkolnych uwzględniony był ten cel. Ma być również wydana książeczka w tym duchu, celem rozpowszechnienia jej wśród młodzieży.

Cesarz Wilhelm II pruski zapragnął obecnie laurów uczonego i zabrał się do pisania historyi Karola Wielkiego, którego nazywa »swym znakomitym poprzednikiem«. Jak wiadomo, cierpi on na t. zw. manię czyli obłęd wielkości i jest głęboko przekonany, że jest wszechstronnym gieniuszem. Niech się bawi i łoży pieniądze na to!

Obywatelska pomoc. P. Kazimierz Rak z Trzebuni donosi nam, że dla biednego i pokrzywdzonego bardzo Andrzeja Mierochny, z ojcowizny przez złych ludzi wydziedziczonego, a mającego żonę i 5 dzieci — złożyli: Kazimierz Rak 5 złr., Kazimierz Śliwa 10 złr., Józef Firek 5 złr., Michał Hajdas 5 złr., Franciszek Niedźwiedź 5 złr., — wszyscy ze Stróży.

Z targów zbożowych. Kraków, dnia 8 kwietnia. Płacono za 100 kilogr. netto Pszenica od 20·36 do 20·75; — Żyto od 15·— do 15·95; — Jęczmień od 14.— do 14·40; — Owies z opłatą akcyzową od 16·60 do 17·—; — Groch od 18·— do 26·—; — Tatarka od 14·— do 18·—; — Proso od 10·— do 11·50; — Fasola od 14·— do 16·—; — Jagły od 18·— do 24·—; Siano od —·— do 6·40; — Słoma od —·— do 4·60; — Koniczyna na paszę od —·— do 7·20; — Ziemniaki za hektolitr od 3·20 do 4·—; — Jaja za kopę od 2.40 do 3.—; — Masła za garniec od 7·30 do 8·50. Wszystko liczono w koronach.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P Ząbek Sprawa krzywd podatkowych, nadużycie egzekutorów, brutalność organów podatkowych będzie omówioną należycie przez naszych posłów demokratycznych przy rozprawie budżetowej za kilka dni w Radzie Państwa. Oprócz tego wydrukujemy opis krzywd, któreście nam przysłali.

P. Komar. Ks. Stojałowski dlatego nie urządził pielgrzymki do Rzymu, gdyż się zgłosiło tylko 19 uczestników. Zresztą lud nasz powoli przychodzi do rozumu i pojmuje, że lepiej pójść do swego kościoła, albo — gdy jest trochę grosza — pojechać do Krakowa, na Wawel, do grobów królów polskich, do trumny św. Stanisława, aniżeli włóczyć się po obcych krajach i wywozić grosz ciężko zapracowany. Pan Bóg tego nie żąda. Była u nas niedawno kobieta co na ostatnią pielgrzymkę do Rzymu pożyczyła 80 złr. i jeszcze odsługuje **u żyda**, aby dług oddać. Gdyby ksiądz Stojałowski uczciwie myślał i uczciwie pra

wdziwie po chrześcijańsku działał, toby nam przyznał racyę i sam przestrzega lud przed wyjazdami do Rzymu, bo wie przecież chyba dobrze, jaka wśród ludu bieda, jaka nędza. A ile to było wypadków, że chłop sprzedał żydowi kawał ziemi, aby pojechać. Takiej pielgrzymki ani Bóg nie chce, ani Ojciec św. nie pragnie. Z pielgrzymki odnosi korzyść właściwie tylko jedna osoba, która zarabia kilka tysięcy złr. to możemy udowodnić.

P. Flach. Pani Helena Hempel mieszka w Bielsku (Śląsk austryacki). Adresować: Redakcya »Wieńca«.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Wydawca: **Franciszek Ptak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Ks. Andrzej Szponder.** — Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego